

**BOLESŁAW  
PRUS**

PAN

WESOŁOWSKI I

JEGO KIJ

Bolesław Prus

**Pan Wesółowski i jego kij**

«Public Domain»

## **Prus B.**

Pan Wesołowski i jego kij / B. Prus — «Public Domain»,

Redaktor codziennej gazety otrzymuje list od Ludwika Wesołowskiego, majątnego mężczyzny, który zapowiada, że ma do niego bardzo ważną sprawę. Stwierdza, że będzie treściwy, ale musi opowiedzieć całą historię — list napisany jest na kilkunastu arkuszach, a odbiorca spodziewa się początkowo, że to raczej krótka forma literacka... Ludwik Wesołowski snuje opowieść, która rozpoczyna się zakupieniem charakterystycznej laski z gałką w kształcie murzyńskiej głowy. Nowela Bolesława Prusa Pan Wesołowski i jego kij to doskonała satyra na przedstawicieli wyższych warstw społecznych, prowadzących uporządkowane, pełne wygód życie, niekiedy — jak pan Wesołowski — nie trudniąc się jednocześnie pracą ani piastowaniem żadnego stanowiska. Prus, opisując obyczajowość, przedstawia naiwny, uproszczony sposób myślenia wynikający z przyzwyczajenia do luksusu, jednak pokazuje również, że wszystkich dotyczą podobne pokusy i błędy. Nowela została opublikowana po raz pierwszy na łamach „Kurier Warszawski” w 1887 roku.

© Prus B.

© Public Domain

# Содержание

I	6
II	9
Конец ознакомительного фрагмента.	11

# Bolesław Prus

## Pan Wesołowski i jego kij

Pewnego dnia otrzymałem duży pakiet w szarej kopercie, zaadresowany: „Do rąk własnych..., od L. Wesołowskiego”. Z rozpaczą pomyślałem, że znajdę rękopis noweli albo komedyjki; okazało się jednak, że jest to tylko list na kilkunastu arkusikach.

Oto co pisał jego autor:

„Mam do pana wielką prośbę; a że w zeszły piątek zwichnąłem sobie nogę, muszę więc skomunikować się z panem listownie. Nudzę się, bodaj czy nie pierwszy raz w życiu, ale strach! Jak się nudzę; mógłbym więc napisać list długi jak bandaż, którym mnie obezwładniono. Szanując jednak pański czas, postaram się być treściwym.

Przeczytawszy zdanie, że: ja mam do pana wielką prośbę – z pewnością zapytasz się: kimże jest ów petent? na czym polega jego prośba? I z jakiej racji nazywa ją wielką? Mam więc obowiązek odpowiedzieć na każdy taki punkt, a zarazem przytoczyć kilka szczegółów z mego życia, które objaśnią: dlaczego w wypadku na pozór drobnym muszę odwoływać się aż do pomocy dzienników?

## I

– Kto więc jestem? – Powszechnie mówią, że jestem dobrym człowiekiem, i co prawda, ja sam nigdy nie doświadczam wyrzutów sumienia. Zresztą, jeżeli nawet budzi się kiedyś w moim sercu jakiś łagodny niepokój, to nie dotyczy on, broń Boże, występków, ale... raczej... może – nie dość subtelny pojmowania zobowiązań małżeńskich.

Pośpieszam dodać, że skrupuły te nie są owocem mojej własnej natury: według mnie bowiem człowiek nawet powinien trochę grzeszyć, ażeby łaskawe niebo miało mu co przebaczyć. Na niesz... to jest na szczęście, jestem mężem kobiety doskonałej, pełnej taktu i surowości zasad; nie dziw więc, że musiałem trochę zarazić się rozmaitymi skrupułami, *nota bene*<sup>1</sup> – po trzydziestopięcioletnim pożyciu.

Czy jestem szczęśliwy? Nie i tak. Nadludzkich rozkoszy, o jakich pisują poeci, nie doświadczylem w życiu; bo nawet miłość, jedyna rzecz, którą znam fachowo, piękniej mi dziś wygląda w pragnieniach, aniżeli w urzeczywistnieniu.

Ale też i nie znałem ciężkich zmartwień. Nigdy nie bankrutowałem, nigdy nie straciłem wielkiego stanowiska, a jeżeli na przykład umarł kto z bliskich, to zwykle zostawiał mi taki zapis w testamencie, że smutek z mojej strony byłby hipokryzją.

Żyję więc bez trosk i zbyt wielkich wymagań. Lubię zjeść nie dużo, ale smacznie, wypić jeden kieliszek wina – ale dobrego; w dodatku zaś nie robi mi przykrości przechodzenie od cygar do papierosów i odwrotnie. Lubię też w dobranym towarzystwie pogadać o polityce, albo zagrać preferans<sup>2</sup>; z rana czytam „Figaro”, do poduszki jaki świeży romans – i w trakcie tego zasypiam.

Zwykle nie śni mi się nic, a czasem – że mam lat dwadzieścia pięć. Niekiedy jednak (zwykle po rautach<sup>3</sup>, gdzie późno dają kolację) marzę – iż spadam z niezmiernej wysokości. Śny te zaliczam do największych przykrości w życiu i rzucam się wtedy, wołam i naturalnie budzę żonę, która, obawiając się zdenerwowania mnie, zapytuje słodko:

– Czy chciałeś czego, Ludwiku?

Przecieram oczy, skupiam uwagę i powiadam:

– Nie, duszko... Niczego...

– Boś tak krzyczał...

– Krzyczałem?... To pewnie przez sen. Śpij, duszko.

– Tak, mam spać, kiedyś mnie wybił ze snu... Pewnie nie zamknę oczu do rana... Ach! Te późne kolacje. Zawsze je musisz jeść. Nic nie dbasz o zdrowie...

I przez cały następny dzień słyszę wymówki (ale spokojne wymówki), że nie dbam o swoje zdrowie...

Tak na przemian śpiąc i czuwając, myślę nieraz, że naprawdę: „życie jest snem”. Bo i czymże jest moje dzieciństwo, kiedym od bony<sup>4</sup> dostawał klapsy w Saskim Ogrodzie? Czym pierwsza miłość, którą powziąłem właśnie dla tej samej bony, ale już wówczas, kiedym był w szkołach, a ona została guwernantką? Czym wreszcie wiek młodzieńczy, gdym był najlepszym tancerzem i – na cześć mojej sąsiadki, córki intendenta<sup>5</sup> wojskowego, uczyłem się grać na flecie?

Ta ostatnia umiejętność nawet dziś przyjemnia mi życie, a niegdyś omal że nie stała się dla mnie źródłem sławy. Wyobraź pan sobie, że miałem grać na flecie w koncercie amatorskim na cel dobroczynny. Zaangażowano mnie, zapowiedziano występ, nauczyłem się kilku arii. Ale – kiedym

---

<sup>1</sup> *nota bene* (łac.) – zauważ dobrze (zwrot wprowadzający ważną wtrąconą informację). [przypis edytorski]

<sup>2</sup> *preferans* – rosyjska gra karciana. [przypis edytorski]

<sup>3</sup> *raut* – przyjęcie. [przypis edytorski]

<sup>4</sup> *bona* – opiekunka do dzieci. [przypis edytorski]

<sup>5</sup> *intendent* – pracownik zajmujący się zaopatrzeniem. [przypis edytorski]

wszedł na estradę i spojrzałem na natłoczoną salę, opanował mnie taki strach, że zgrabiały mi palce i żadną miarą nie mogłem dmuchnąć we flet. Przyniesiono mi szklanę wina (zamiast wody), kilka życzliwych osób uderzyło brawo – wszystko na nic... Wino wypilem, ukloniłem się za oklaski, ale zadać we flet nie mogłem. Schowałem nawet na pamiątkę ówczesny „Kurier”, opisujący ten wypadek.

Pomimo melancholijnej zasady, że „życie jest snem,” nie mogę powiedzieć, ażebym nie posiadał wyższego celu. Jest nim – jakiegokolwiek, bodaj honorowe, stanowisko, co znowu łączy się z wymaganiami mojej żony.

Trzeba wiedzieć, że żona moja jest ściśle spokrewnioną z książętami X, i pochodzi z ambitnej rodziny, której członkowie zawsze piastowali jakieś urzędy kościelne, cywilne, albo wojskowe. Gdy się więc o nią oświadczyłem, zarzucono mi, że wprawdzie mam dobre ułożenie, talenta i ładny majątek, ale – nie posiadam stanowiska.

Naturalnie, że po takim *dictum*<sup>6</sup>, natychmiast podałem się na aplikanta w komisji spraw wewnętrznych i w następstwie połączyłem się z najdroższą Ewcią. Gdy jednak wkrótce po weselu trafiła mi się owa przygoda z koncertem, byłem tak złamany na duchu, że rodzina moja i Ewci (ażeby ochronić mnie od możliwego samobójstwa) namówiły nas do wyjazdu zagranicę.

Bawiliśmy<sup>7</sup> tam parę lat, wróciliśmy, wyjechaliśmy znowu; potem spadły na mnie troski ojcostwa, potem edukacja syna, wydanie za mąż starszej córki, i – tak jakoś czas zeszedł.

Dopiero po upływie trzydziestu lat żona moja przypomniała sobie, że ja koniecznie powinienem zajmować jakieś stanowisko.

Rozmowa nasza o tym przedmiocie odbyła się w szczególnych warunkach. Słońce zachodziło i w gabinecie mojej żony był już pomrok<sup>8</sup>. Ewcia siedziała na amarantowym fotelu, w czarnej sukni, mając z jednej strony palmę, z drugiej tamburek<sup>9</sup>, na którym haftowała mi pantofle. Zazwyczaj posągowo piękna, twarz żony wyglądała w tej chwili prawie surowo.

Spostrzegłszy ten wyraz, szybko przypomniałem sobie historię kilku dni ostatnich. Ponieważ jednak nie znalazłem nic w tych czasach, co bym sobie mógł wyrzucać, więc ogarnął mnie taki niepokój, że, usiadłszy na taburecie<sup>10</sup>, nie śmiałem ust otworzyć.

„Czy nie narobił kto jakich plotek?...” – myślałem, czując chłód na plecach, gdy tymczasem żona utopiła we mnie spokojne, lecz przenikliwe spojrzenie. Prawie nie mogłem oddychać.

– Mój Ludwiku – zaczęła Ewcia – mamy około 12, 000 rubli rocznie...

– Jeżeli nie więcej... – wtrąciłem.

– Trochę nawet mniej.

– Z pewnością więcej – dodałem, czując, że budzi się we mnie duch sprzeczki.

– Wierz mi, że mniej – przerwała, gromiąc mnie oczyma. – Ja lepiej wiem.

– Może być.

– Otóż – ciągnęła Ewcia – mamy trochę mniej niż 12, 000 rubli rocznie, jedną córkę zamężną, drugą na wydaniu, a nade wszystko – syna, który już ukończył trzydzieści i trzy lata. Na pozór niczego nam nie brak, lecz mimo to nie jesteśmy ani szczęśliwi, ani spokojni.

– Ależ duszko...

– Nie zapieraj się – mówiła żona – bo nieraz widzę, jak ziewasz.

– Ja?...

– Ty, i ziewasz z nudów, z braku zajęcia – dodała, akcentując ostatnie wyrazy. – I kiedy ty ziewasz, ja wzdycham, myśląc, że przez tyle lat nie postarałeś się o jakie stanowisko, i że nasz syn, Mieczysław, całkowicie wstępuje w twoje ślady. Proszę cię, Ludwiku, zachęć Mieczysława własnym

---

<sup>6</sup> *dictum* (łac.) – dobitna wypowiedź. [przypis edytorski]

<sup>7</sup> *bawić* (daw.) – przebywać. [przypis edytorski]

<sup>8</sup> *pomrok* (daw.) – półmrok. [przypis edytorski]

<sup>9</sup> *tamburek* – okrągły przedmiot, na którym rozpina się tkaninę przeznaczoną do haftowania. [przypis edytorski]

<sup>10</sup> *taburet* – dziś popr.: taboret. [przypis edytorski]

przykładem i o cokolwiek się postaraj. Tylu przecie znamy prezesów, a choćby wiceprezesów, dyrektorów i członków rozmaitych zarządów, iż doprawdy jest mi wstyd, że nie należysz do ich grona. Proszę cię, postaraj się o coś, a w takim razie troskę o Mieczysława sama wezmę na siebie.

W gabinecie zrobiło się jeszcze ciemniej. A kiedy podniosłem oczy na Ewcię i na amarantowym tle aksamitu spostrzegłem, że ma siwe włosy, nagle przypomniałem sobie moją matkę – i pierwszy raz w życiu pomyślałem, że Ewcia robi na mnie wrażenie ś.p. matki.

– Spełnię, co każesz, Ewciu – odpowiedziałem, całując ją w rękę.

Znalazłszy się w swoim pokoju, rzuciłem się na szezlong, aby podumać.

„Naturalnie, że Ewcia ma rację – mówiłem sobie. – Choćby dla dania przykładu Mieczysławowi (który w ostatnich czasach zaczął coraz częściej pożyczać ode mnie pieniędzy), muszę zająć jakieś stanowisko i pozyskać tytuł. Tym bardziej, że od wielu lat jakiegokolwiek stanowisko jest moim marzeniem...”

Tu przerwał się potok myśli. Zasnąłem. A gdym się obudził, byłem już tak zdecydowany na zajęcie stanowiska, że postanowiłem – kazać zrobić swój portret.

Niepodobna<sup>11</sup>, ażebyś pan przed pięciu laty nie zauważył na wystawie sztuk pięknych portretu mężczyzny w sile wieku, z białą, krótko ostrzyżoną brodą, a cerą dwudziestolatka. Tłumy, szczególnie kobiet, zatrzymywały się przed nim, i nieraz słyszałem uwagi:

– Patrz, jaka to czerstwa<sup>12</sup> cera...

– Jakie żywe oko...

– Prześliczny starzec!

To, panie, był mój portret, ukończony w miesiąc po stanowczej rozmowie z Ewcią. Muszę jednak dodać, że – starcem nazywają mnie kobiety tylko dla przekomarzania się. Czują bowiem i one we mnie, i ja sam w sobie – młodość od stóp do głowy; przedwczesna siwizna niczego nie dowodzi, ponieważ jest w naszej rodzinie dziedziczną. Mój ojciec już w pięćdziesiątym siódmym roku życia był siwy, syn (młokos!) znalazł kilka białych włosów, a nawet Ewcia, jak to nadmieniałem, osiwiła również przedwcześnie.

---

<sup>11</sup> *niepodobna* (daw.) – nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

<sup>12</sup> *czerstwy* – tu: zdrowy. [przypis edytorski]

## II

Może za wiele piszę o sobie; wybaczone pan, ale to tak miło rozpamiętywać swoje, choćby skromne zasługi, szczególnie wówczas, gdy człowiek ma obandażowaną nogę.

Nim zakomunikuję panu właściwą prośbę, muszę choć pokrótce wspomnieć o tym, jak pracowałem nad zdobyciem stanowiska w społeczeństwie, a także o tajemniczych wypadkach, które wplątały się do moich usiłowań.

Ostrzegam, że nie jestem przesądny i w cuda nie wierzę; owszem – jestem raczej sceptykiem. Mimo to historia mego kija, którą zaraz opowiem, przekonała mnie, a może przekona i pana, że – są rzeczy na ziemi, o jakich nie śniło się filozofom.

Przede wszystkim zobacz pan, jak zrobiłem znajomość ze swoim kijem.

Chodząc ulicami, mam zwyczaj spoglądać w okna sklepów. W ten sposób można zapoznać się z jakąś przystojną sklepową, upatrzeć tani prezent dla jakiejś cnotliwej i niewymagającej dziewczyny, a w najgorszym razie – można przejrzeć się w szybie, jak w lustrze. Nie jestem pyszałkiem, wyznam jednak, że lubię swoją fizjognomię<sup>13</sup>, a nie znoszę nieporządku w ubraniu. Podwinięty kołnierz, źle zapięty krawat, albo, broń Boże! plamka na klapie surduta, na cały dzień mogą mi zepsuć humor.

Podczas jednej wędrówki zauważyłem w oknie sklepu tokarza – bardzo ładną twarzyczkę. Zatrzymałem się, zacząłem udawać, że przypatruję się laskom, fajkom, szachom i dominom, rzucając jednak słodkie spojrzenie na piękną sklepową.

Nieznajoma dostrzegła oznaki mojej życzliwości, a nawet uśmiechnęła się znacząco. I właśnie, gdy podnosiłem rękę do kapelusza, aby złożyć jej ukłon, osłupiałem...

Między laskami w oknie była jedna czarna, posiadająca zamiast gałki – rzeźbioną główkę Murzyna. Prawdziwego Murzyna z czarną cerą, białymi zębami, ciemno-wisniowymi wargami, a nade wszystko – ze szklanymi oczyma, które, lubo<sup>14</sup> trochę rozbiegłe, zdawały się mieć pozór życia i myśli.

Otóż w chwili, gdy podniosłem rękę do kapelusza, aby ukłonić się pięknej sklepowej, spostrzegłem ze zdumieniem, iż rzeźbiony na lasce Murzyn patrzy mi w oczy i – śmieje się na całe gardło. Przechylił się w tył, jakby miał upaść, szeroko otworzył grube usta i śmiał się ze mnie, no, ale tak, że gdyby był żywym człowiekiem, choćby Murzynem, musiałbym zażądać od niego wyjaśnień.

Nim otrząsnąłem się z przykrego wrażenia i przypomniałem sobie, że bądź co bądź jest to tylko rzeźbiona laska, sklepowa znikła.

Od tej pory często przechodziłem obok sklepu. Nieznajomej już w nim nie było, ale za to kij z gałką w formie Murzyna nabierał coraz więcej życia i wyrazu. Niekiedy zdawało się, że pochylony na prawo, rozmawia z laską, mającą na wierzchołku głowę starca. Innym razem, pochylony na lewo, zdawał się drwić z kija zakończony końskim kopytkiem. Czasami zwracał grube wargi do zawieszony obok cygarnicy, jakby chciał zaciągnąć się dymem papierosa. A innym razem znowu zdawało się, że – mnie poznaje.

Wówczas albo pochylał się do mnie, jakby kłaniając się, albo przykładając usta do szyby (może chciał mnie pocałować?), albo obrażony moją dla niego obojętnością, stał sztywnie<sup>15</sup> i patrzył gdzieś, na drugą stronę ulicy.

Nigdy nie używałem laski; idąc, trzymałem zwykle w prawej ręce rękawiczkę, i to mi wystarczało. Jednakże około sześćdziesiątego roku życia przyszła mi chęć sprawienia sobie kija. Nie dlatego bynajmniej, ażeby się podpierać, bo tego nawet dziś nie potrzebuję, ale – uważałem, że z kijem

---

<sup>13</sup> *fizjognomia* – wygląd twarzy, ciała. [przypis edytorski]

<sup>14</sup> *lubo* (daw.) – chociaż. [przypis edytorski]

<sup>15</sup> *sztywnie* – dziś popr.: sztywno. [przypis edytorski]

w rękę będę wyglądał poważniej. Doszedłem nawet do wniosku, że trzymanie złożonej rękawiczki stosowne jest dla mężczyzny tylko między dwudziestym a trzydziestym rokiem.

Pomimo tych uwag, nie wiem jak długo jeszcze decydowałbym się na kupno laski, gdyby nie okoliczność, że – zostałem członkiem Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami.

„Jużci – pomyślałem – zwierząt nie można protegować bez kija.”

I postanowiłem kupić sobie ów kij z główką Murzyna.

Nie wiem dlaczego, wchodząc do sklepu tokarza, uczułem nieco przyśpieszoną pulsację. Spoglądałem za kontuar – nie ma pięknej sklepowej; miejsce jej zajmuje jakiś zatabaczony jegomość w okrągłych okularach. Patrząc na okno... Nie ma mego Murzynka!...

– Gdzie pan ma tę laskę z główką Murzyna? – spytałem tokarza. – Chcę ją kupić.

– Murzyna? – spytał. – A to dziwny traf! Nie ma kwadransa, jak kupił go jakiś pan. Ale znajdę dla pana dobrodzieja coś stosowniejszego: kij z dużą, gładką gałką...

– Dziękuję panu – odparłem i opuściłem sklep prawie z zalem.

Już mi nawet laski zaczynają porywać z przed nosa!

Co pan jednak powiesz?... Przechodzę obok sklepu na drugi dzień i – w oknie widzę znowu mego Murzynka. Pochylił się tak, że o mało nie rozbił szyby głową, i zdawał się szeptać do mnie z najwyższym niepokojem:

– Chodźże tu prędko, bo mnie jeszcze kto złapie...

Naturalnie wpadłem do sklepu, wołając:

– Jest Murzyn!...

– A jest – odparł tokarz – i co za dziwny traf! Wczoraj, w pół godziny po pańskim wyjściu ze sklepu, ten pan, który kupił Murzyna, odniósł go na powrót i wymienił na kij z dziobem żurawia.

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.